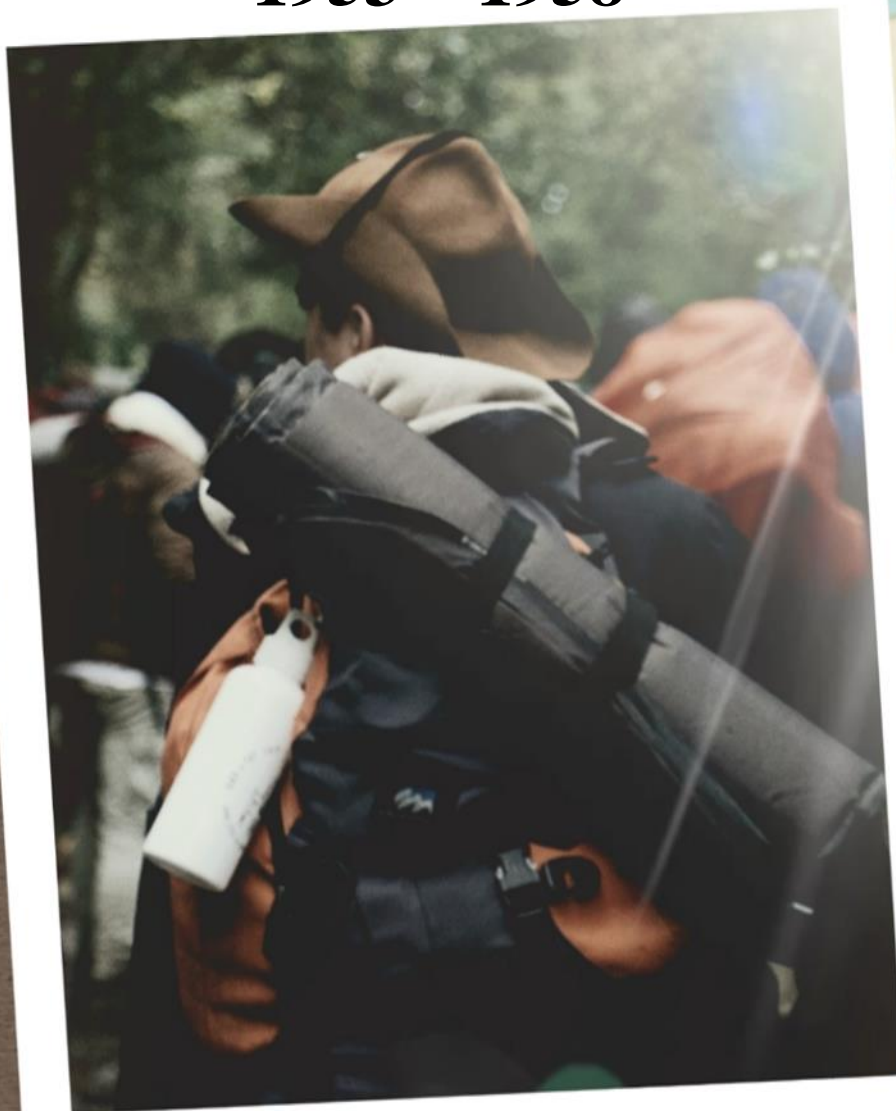
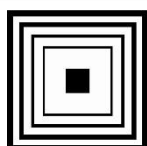


**Wspomnienia
z Liceum Pedagogicznego w Łodzi
1953 – 1958**



NASZA WSPANIAŁA HARCERSKA KLASA



**Łódzkie Centrum
Doskonalenia Nauczycieli
i Kształcenia Praktycznego**



NASZA WSPANIAŁA HARCERSKA KLASA

Wspomnienia z Liceum Pedagogicznego w Łodzi

1953 – 1958

Redakcja:

TOMASZ MISIAK

Redakcja techniczna:

DOROTA CERAN

JOANNA CYRAŃSKA

Projekt okładki:

DOROTA CERAN (Mael Balland/Motionleap)

© ŁÓDZKIE CENTRUM DOSKONALENIA NAUCZYCIELI
I KSZTAŁCENIA PRAKTYCZNEGO 2022

WYDAWNICTWO I PRACOWNIA POLIGRAFICZNA
ŁÓDZKIEGO CENTRUM DOSKONALENIA NAUCZYCIELI I KSZTAŁCENIA PRAKTYCZNEGO
90-142 ŁÓDŹ, UL. KOPCIŃSKIEGO 29
TEL. (42) 678 33 78, FAX. (42) 678 07 98
E-MAIL: KONTAKT@LCDNIKP.ELODZ.EDU.PL
www.wckp.lodz.pl

BYŁ ARTYKUŁ – JEST KSIĄŻKA

Państwowe Liceum Pedagogiczne nr 1 w Łodzi rozpoczęło działalność w roku 1949. Początkowo miało swoją siedzibę przy ul. Bocznej 5, w 1951 r. zostało przeniesione na ul. Wólczańską 171, gdzie funkcjonowało jako Liceum Pedagogiczne TPD. W roku 1953 wróciło do wcześniejszej nazwy i przeniosło się do nowo zbudowanego gmachu przy ul. Wólczańskiej 202. I wtedy właśnie rozpoczęła naukę nasza wspaniała klasa! Klasa I h, czyli pierwsza harcerska. Tworzyła ją niezwykła gromada 53 dziewcząt. Wszystkie chciałyśmy być nauczycielkami, a oprócz tego uzyskać tytuł przewodnika harcerskiego i w przyszłości prowadzić drużyny harcerskie. Jednym z wielu przedmiotów w naszym programie kształcenia były zagadnienia harcerstwa, taka harcerska teoria. Poza tym organizowano dla nas w ciągu roku szkolnego i w wakacje biwaki, wycieczki, obozy wędrowne i stacjonarne... Jakże mocno łączyły nas te wspólne harcerskie wyjazdy, owocując długoletnimi przyjaźniami!



Już pierwsze klasy naszego liceum odbywały praktykę pedagogiczną: w Szkole Podstawowej nr 46 przy ul. Wólczańskiej, która była szkołą ćwiczeń, a potem także w innych łódzkich szkołach. W programie kształcenia była pedagogika, psychologia, metodyka nauczania. Wraz z metodyką nauczania prowadzone też były takie przedmioty ogólnokształcące, jak język polski, geografia z geologią, biologia, matematyka, rysunki, prace ręczne, wychowanie fizyczne, śpiew. Ten „śpiew” obejmował również grę na niełatwym do opanowania instrumencie – skrzypcach, a w klasie harcerskiej ponadto fanfarę.

Nasza klasa z wielu względów była wyjątkowa. W liceum pedagogicznym nauka trwała wówczas cztery lata, po ukończeniu 7-letniej szkoły podstawowej, a nasz rocznik jako pierwszy objęty został pięcioletnim cyklem kształcenia (1953 - 1958). Była także możliwość nauki - zamiast w klasie piątej - w nowo otwartym 2-letnim Studium Nauczycielskim, ale my harcerki chciałyśmy jak najprędzej iść do pracy, nie przejmując się tym, że przydzielano ją wtedy „z nakazu” i nie było możliwości wyboru placówki.

O tym, że wymagania stawiane przed kandydatami do pracy nauczycielskiej i harcerskiej były bardzo wysokie najlepiej świadczy fakt, że spośród 53 dziewcząt, które rozpoczęły w 1953 r. w naszej pierwszej klasie naukę w Państwowym Liceum Pedagogicznym nr 1, do klasy piątej w 1958 r. „dotrwało” 18, a świadectwo maturalne uzyskało tylko 14, gdyż 4 uczennice musiały powtórzyć rok.

To były dawne czasy, a teraz wspomnę nieco nowsze. 13 marca 1999 r. spotkałyśmy się na imieninach u Krystyny Urbańczyk (z d. Szefer) w Niesięcinie. Było nas 5 koleżanek, ale to tylko na początek, bo z każdym rokiem przybywało uczestniczek spotkań organizowanych z okazji Dnia Kobiet, Dnia Nauczyciela czy kolejnych jubileuszy, takich jak 60. urodziny naszego rocznika, 40-lecie ukończenia Liceum Pedagogicznego, 50-lecie rozpoczęcia nauki, 60-lecie ukończenia szkoły, a także bez okazji – w domach i ogrodach poszczególnych koleżanek. Wszystkich spotkań było dotychczas dziewiętnaście, ostatnie zorganizowałyśmy z okazji Dnia Nauczyciela 13 października 2021, znów u naszej koleżanki Krystyny w Niesięcinie k. Konstantynowa Łódzkiego. Wszystkie nasze klasowe spotkania mamy udokumentowane zdjęciami i pamiątkami.

Również jako pamiątkę dla koleżanek przygotowałam artykuł wspomnieniowy „Nasza wspaniała harcerska klasa”, opublikowany dzięki życzliwości dyrektora Janusza Moosa w czasopiśmie „Dobre Praktyki. Innowacje w edukacji” (nr 33/jesień 2021), którego wydawcą jest Łódzkie Centrum Doskonalenia Nauczycieli i Kształcenia Praktycznego. Publikacja zachęciła pozostałe koleżanki, a także mnie ponownie, do spisania wspomnień z lat nauki w łódzkim Liceum Pedagogicznym. I tak powstała wspomnieniowa książka o nas,

o naszej klasie, o naszej szkole, opatrzona takim samym jak artykuł tytułem - „Nasza wspaniała harcerska klasa” - gdyż lepszego, trafniejszego nie sposób sobie wyobrazić. Wszystkie jesteśmy tej książki współautorkami, a jej życzliwym wydawcą znowu nieocenione Łódzkie Centrum, któremu z całego serca dziękujemy.

Teodozja Rutkowska

FARTUSZEK Z BIAŁYM KOŁNIERZYKIEM

Bardzo, bardzo dawno temu, jako czternastolatki, spotkałyśmy się w Liceum Pedagogicznym nr 1 w Łodzi. Każda z nas nosiła fartuszek z białym kołnierzykiem. Nadeszła chwila, kiedy miałyśmy poznać naszego wychowawcę. Był to profesor Majchrzak, ale był z nami tylko rok. Od drugiej klasy naszą wychowawczynią została profesor Bortnowska. Bardzo miłe wrażenie zrobiły na nas suknie pani profesor, każda z białym kołnierzykiem, bardzo eleganckie. Wielu profesorów było w naszej szkole, po każdym z nich pozostało wspomnienie. Szczególnie utkwił mi w pamięci profesor Kubiczek, który śledził nas, by sprawdzić, czy się uczymy, czy też spotykamy po lekcjach. Oj, było wesoło, gdy spotkał nas w kawiarni na Piotrkowskiej! Nasz czas zajmowała nie tylko nauka, ale też wycieczki, obozy harcerskie, gdzie spędziłyśmy miłe chwile. Uczyłyśmy się grać na skrzypcach, na fanfarze, prowadziłyśmy lekcje w Szkole Ćwiczeń. Często jeździłyśmy do Spały na obóz. Rozbijane były namioty, rozpałałyśmy ognisko, śpiewałyśmy nasze ulubione piosenki, a świetliki rozjaśniały nam niebo. Dużo było tych wycieczek, biwaków i obozów harcerskich. Tego się nie zapomina. I tak płynął rok za rokiem, a my stawałyśmy się bardziej mądre, dojrzałe i odpowiedzialne. Nie wiadomo kiedy przyszedł czas rozstania. Po ukończeniu szkoły każda poszła w swoją stronę. Zostałyśmy żonami, matkami, babciami, teraz to już nawet prababciami. Ale co najważniejsze, od kilku lat znowu się spotykamy. Mimo dojrzałego wieku, mimo chorób, które nas nękają – jakże miło zobaczyć się, nawet w okrojonym gronie. Niestety, kilka koleżanek odeszło. W czasie spotkań wracają wspomnienia, śpiewamy nasze piosenki sprzed lat, wymieniamy doświadczenia... I to jest piękne!

Wacława Dziwulska (z d. Pawłowska)

PIERWSZY ROK NAUKI BYŁ WSPANIAŁY

Trudno po latach wrócić pamięcią do 1 września 1953 roku. Kiedy po uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego przeszliśmy do klas, to zobaczyłam, że naszym wychowawcą jest mój nauczyciel z trzeciej klasy szkoły podstawowej. Wstydziałam się do tego przyznać.

Dopiero po dłuższym czasie powiedziałam koleżance Basi, która powtórzyła to wychowawcy. Pierwszy rok nauki był wspaniały. Pamiętam nasze marsze i biegi z liceum do Parku Poniatowskiego, gdzie nauczyciele urządzali nam różne zajęcia i zawody. Wiele emocji sprawiło nam spotkanie w parku na Zdrowiu, gdzie musieliśmy przechodzić po linie. W zimie natomiast nasz wychowawca pojechał z nami do Łagiewnik, gdzie spacerowaliśmy po lesie w śniegu.

Z tych wszystkich wypadów mam wiele zdjęć, które często oglądam i wspominam z łezką w oku. Z czasem zaczęły się między nami nawiązywać bliższe znajomości i przyjaźnie. Bliską moją koleżanką była Jagusia Wajsberger, Basia i wiele innych.

W 1954 roku pojechaliśmy na praktyki jako pomoc wychowawcy na koloniach – Jadzia, Hania Majkowska i ja – do Koźminka. Czuliśmy się wtedy bardzo ważne i prawie dorosłe. Wspominam też często pobyt na obozie wędrownym, który zorganizował nam nasz dyrektor i jego żona. Każdy dzień spędzaliśmy w innej miejscowości. Pierwszy raz widziałam wtedy Tatry. Mamy zdjęcia zrobione pod Giewontem, na Gubałówce i w wielu innych miejscach. Wjechaliśmy kolejką linową na Kasprowy Wierch, z którego mieliśmy zejść pieszo, lecz niestety zaczął padać deszcz i zbocze stało się bardzo śliskie. Musieliśmy więc, umazani gliną, wdrapywać się z powrotem do góry i zjechać kolejką. Wędrując, zwiedziliśmy też Wieliczkę, Oświęcim i Kraków.

Do tej pory mam zeszyt, w którym Danusia Zielińska rysowała mi w rogach piękne kwiaty i inne ozdoby. Choć lata robią swoje i niejedno zaciera się w pamięci, ważne jest to, że jeszcze możemy się spotkać i wspólnie wspominać te piękne minione lata...

Janina Frelich (z d. Marciniak)

ZOSTANĘ NAUCZYCIELKĄ!

Zaczęło się! W ostatniej klasie szkoły podstawowej każdy uczeń planuje, jaki chciałby mieć zawód i w jakiej szkole w tym kierunku się uczyć. Ja już dużo wcześniej byłam świadoma i pewna, że zostanę nauczycielką. Z tą świadomością i przekonaniem ja – Daniela Sztarbała oraz Basia i Irena, absolwentki Szkoły Podstawowej nr 32, przekroczyłyśmy 1 września 1953 roku próg wybranej szkoły: I Liceum Pedagogicznego w Łodzi przy ul. Wólczańskiej 202. Od tego dnia na 5 lat (miały być 4 lata, ale jakaś reforma oświaty przedłużyła naukę) zostałam uczennicą klasy I_h. Byłyśmy z Basią zdziwione, dlaczego Irena jest w klasie I_a, a my w klasie z literą „h” w nazwie? Po niedługim czasie sprawa się wyjaśniła – w nazwie jest litera „h”, bo to klasa harcerska. Dowiedziałyśmy się, że klasa harcerska oprócz przygotowania nas do pracy pedagogicznej i wychowawczo-opiekuńczej z dziećmi, czyli nauczania i wychowania, będzie przygotowywać nas również do pracy i działania w ZHP – organizacji harcerskiej, w drużynach, zastępach, ogniwach, że będziemy przewodnikami drużyny. W związku z tym oprócz przedmiotów ogólnych miałyśmy przedmiot dodatkowy: zagadnienia harcerskie. Prowadził go nasz wychowawca prof. Majchrzak, on również bywał z nami na wycieczkach czy biwakach. W porównaniu z równoległą klasą „a” miałyśmy również rozszerzony zakres materiału z muzyki. Oprócz obowiązującej wszystkich gry na skrzypcach była jeszcze gra na fanfarze. Już sama nauka gry na skrzypcach była bardzo trudna, nie mogłyśmy się doczekać dźwięków tworzących jakąś melodię. Jedyną, którą pamiętam, była „Ćwierkają wróbelki”, piosenka dla klasy pierwszej. Tę melodię „piłowałyśmy” z sukcesem. Potem ta nauka gry niewiele się przydała.

Zajęcia z gry na fanfarze odbywały się w sali gimnastycznej, ze względu na silne dźwięki, które z klasy byłyby słyszalne na korytarzu, a nawet w sąsiednich salach lekcyjnych. Bardzo niechętnie chodziłam na te lekcje. Zresztą nie tylko ja, inne dziewczyny też - kombinowałyśmy na różne sposoby, żeby wyjść z sali. Nasz prof. Gernard, bardzo spokojny nauczyciel, miał na nami sporo kłopotów. Efekt tej rocznej nauki był taki, że nigdy potem nie przyłożyłam fanfary do ust, które od gry robiły się czerwone i mokre od śliny, okropne. Ale fanfara to instrument wykorzystywany w czasie zbiórek harcerskich przy wprowadzaniu sztandaru, a na obozach ogłaszający pobudkę, apel i inne zbiórki. Stąd gra na nim znalazła się w programie klasy harcerskiej. Od klasy „a” różnił nas także rozszerzony zakres materiału z w-f, z obowiązkową nauką jazdy na łyżwach. Lodowisko było w porze zimowej na boisku szkolnym, jego dobrego stanu dopilnowywał codziennie p. Arent – główny woźny,

mieszkający w budynku szkoły. Zajęcia prowadził prof. Olczyk. Zdarzało się, że będąc długo w szkole wieczorem też polewałyśmy wodą taflę. Nauka była zakończona egzaminem. Mimo poobijanych boków i kolan, od upadków i uderzeń o bandę - odniosłam sukces, nauczyłam się jeździć, egzamin zdałam na trójkę z plusem! Jednak kiedy po latach, już pracując, byłam z harcerzami na lodowisku w parku 3-go Maja, to robiłam wszystko, żeby nie jeździć, bo nie chciałam prezentować mojego mało perfekcyjnego łyżwiarstwa.



Program klasy harcerskiej był też rozszerzony z innych przedmiotów, miałyśmy dużo zajęć pozalekcyjnych i pozaszkolnych. Często spędzałam czas do godz. 17 w gabinecie harcerskim, w pracowni fotograficznej, na zbiórkach harcerskich w Szkole Ćwiczeń lub w Szkole Podstawowej nr 46 na parterze. Ta zwiększona ilość zajęć była przyczyną podziału na klasy zwykłe i harcerskie. Brano pod uwagę wyniki ze szkoły podstawowej i egzaminu wstępnego, bo to wskazywało na możliwość podołania zadaniom. Czas po lekcjach wykorzystywany był do zdobywania umiejętności, które potem miały się przydać w czasie zbiórek harcerskich, biwaków czy obozów. Takich na przykład, jak rolowanie koca, aby się w drodze na biwak nie rozleciał. Długo się to ćwiczyło, czasami w holu naszego liceum. A biwaków, wycieczek, obozów przeżyłyśmy sporo. Już od późnej wiosny, kiedy robiło się w miarę ciepło, aż do

później jesieni, prawie każda sobota to był wyjazd na dwudniowy biwak. Jeździliśmy tramwajami podmiejskimi, pociągami, obciążone plecakami, zrolowanymi kocami, dźwigając duże gary, menażki oraz prowiant na posiłki. Na biwaki jeździliśmy niedaleko, w okolice Łodzi. Byliśmy między innymi w Swędowie w czerwcu 1954 r. z prof. Majchrzakiem i prof. Dyją, w Zimnej Wodzie we wrześniu 1955 r., w Moszczenicy w 1955 r., w Białej pod Zgierzem z prof. Olczykiem, prof. Kubiczkiem i prof. Rutkowskim. Podczas jednego z biwaków, gotując na kamiennym ognisku w dużym garnku kawę, ułożyła Basia na pokrywce kotlety przywiezione przez którąś z koleżanek, żeby je odgrzać. Gotowanie na takim ogniu szło marnie – ciągle podkładanie suchego drewna, dmuchanie, aby lepiej się paliło. Wystarczyła chwila nieuwagi, potrącona pokrywka i kotlety wylądowały w kawie! Ciekawe i wesołe było wyławianie ich zwykłą łyżką, bo cedzakowej nie miałyśmy, co i raz któryś znów wpadał. Kawa i kotlety straciły na smaku, ale nikt nie powiedział, że były złe.

Różnych trudnych sytuacji zdarzało się sporo. Oto przykład: przygotowanie namiocików do spania – małych, często z dziurkami, bez podłogi, bez okrywającego brezentu, a o karimacie chyba nikt nie myślał. Kiedyś prof. Olczyk polecił nam zbierać różnej grubości gałęzie, te całkiem grube też, które miały stanowić podłoże pod koce (liche zresztą, jakieś odpady od wojska, ale wtedy nikt się nad ich jakością nie zastanawiał). Nam trudno było uwierzyć, że na czymś takim mamy spać i zaczęła się dyskusja: po co, to zbędne, bez tego też się wyśpimy... Przemądrzałe, nie wykonałyśmy polecenia prof. Olczyka, a on ustąpił, bo wiedział, jaki będzie finał, skoro noce w czerwcu i wrześniu bywają chłodne. I co? Nie pamiętam, z którą z koleżanek miałam spać, ale pomimo ułożenia się w ubraniach i przytulania nie dało się z zimna idącego od ziemi wytrzymać. Pamiętam, nad ranem dosypiałam skulona pod drzewem poza namiotem, otulona różnymi ciuchami, bo tak było troszeczkę cieplej. Cóż, nauka nie poszła w las. Na innych biwakach, dopóki nie było lepszych namiotów, układaliśmy już „podłogę”, zaczynając od grubych i stopniowo cieńszych gałązek. I dopiero koc.

W I i II klasie skupialiśmy się na przygotowaniach do większych zadań i wysiłków, do obozów. I tak po ukończeniu II klasy wyjechałyśmy wszystkie na 3-tygodniowy obóz do Spały, w którym uczestniczyły też dziewczyny z Wrocławia, a Łódź była organizatorem. Był to najtrudniejszy, ale najmilej wspominany chyba przez każdą z nas obóz. Może któraś opíše?

Były też inne obozy, na które jeździły mniejsze grupy chętnych. Wymienię: obóz w Otmuchowie w sierpniu 1955 r. (organizował Wrocław), obóz wędrowny Łódź – Kraków –

Zakopane w 1955 r., obóz w Zakopanem w 1956 r. z prof. Osiniakiem i jego żoną oraz prof. Olczykiem, obóz Łódź – Zakopane - Smokowiec w Czechosłowacji z prof. Olczykiem i prof. Zającem, obóz w Myśliborzu w 1956 r., obóz w Trzebieży w lipcu 1957 r. z klasą młodszą (organizował Szczecin), obóz Jelenia Góra – Karpacz w grudniu 1956 r. z prof. Olczykiem i prof. Rutkowskim, obóz w Szklarskie Porębie w 1957 r., w lipcu...

Z każdego biwaku, obozu, wycieczki, z każdej imprezy organizowanej na terenie szkoły dla nas, dla dzieci ze Szkoły Ćwiczeń czy dla harcerzy pozostały piękne wspomnienia i trochę zdjęć. Czas szybko ucieka, ale może zdążymy jeszcze coś powspominać?

Daniela Jędrasiak (z d. Sztarbala)

PRZYJAŹŃ NA GIEWONCIE

Wakacje! Miłe, bo ukończyłam II klasę z niezłym wynikiem, a jeszcze „bomba” – zapisałam się razem ze Zdzisią na obóz wędrowny z uczniami IV klasy, a obóz poprowadzi nasz dyrektor p. Osiniak razem ze swoją ładną i młodą żoną! Jedziemy do Zakopanego, nigdy tam nie byłam, a mamy zdobyć „szczyt z krzyżem” – Giewont, jeden z trudniejszych.

W dniu wycieczki był ładny dzień, było dużo młodzieży, razem z nami wspinali się nieco starsi uczniowie, już prawie dorośli, nie wiem, z jakiego miasta. Przeważała płęć męska, niewiele było dziewczyn. Szła z nimi jedna bardzo otyła dziewczyna o wyjątkowo ładnej buzi. Chyba była lubiana, bo gdy doszliśmy do najtrudniejszego miejsca, czyli do łańcuchów, to ona zdyszana, z krótkim oddechem powiedziała: „Dalej nie mam siły iść, nie dam rady, zostaję!” I wtedy chłopcy zaczęli ją wspomagać, powiedzieli, że będą szli jej tempem.

„Zobaczysz – mówili – jaki piękny widok na Tatry jest ze szczytu, nie możesz tego stracić, będziesz żałować i my też, że nie będzie cię na szczycie z nami!” Przysłuchiwałam się tej rozmowie, zbudowana postawą kolegów tej dziewczyny. A ona w końcu zdecydowała się iść i zdobyła ten szczyt, i była bardzo szczęśliwa siedząc na Giewoncie wśród swoich przyjaciół. Widziałam łzy w jej oczach, ale to były łzy szczęścia. Pomyślałam wtedy, że prawdziwej przyjaźni i serdecznego wsparcia nie można odczuć bez takiej przygody, jak ta na Giewoncie i bez takich przyjaciół, jak oni.

Nasze spotkania też świadczą o naszych relacjach, które nazwałabym przyjaźnią, w bardzo dobrym tego słowa znaczeniu!

Danuta Ślusarczyk (z d. Ratuszniak)

LEKCJA PSYCHOLOGII

Jesteśmy w II klasie Liceum Pedagogicznego nr 1 w Łodzi. Rok szkolny 1955/56. Za chwilę rozpocznie się lekcja psychologii. Wykładowcą tego przedmiotu jest prof. Sporny.

Wchodzi do klasy z opóźnieniem, gdyż pełni wówczas funkcję zastępcy dyrektora szkoły.

Rzuca na biurko dziennik lekcyjny, a następnie nie siada za biurkiem, lecz chodzi po klasie wśród ławek ze słowami: „Patrzeć mi się w oczy!” Podobno odczytuje z oczu, która z nas nie jest przygotowana do lekcji. Mówi: „Ciebie nie będę pytał, ciebie też nie i jeszcze ciebie...”

A w końcu decyduje: „Dzisiaj nikt nie będzie pytany”. Profesor był wymagającym nauczycielem i obiecał, że następnym razem sobie odbije. I zapowiedział temat dzisiejszej lekcji: „Rodzaje charakterów ludzkich”.

Gdy rozległ się dzwonek, zadowolone wyszłyśmy z klasy na korytarz. Cieszyły się zwłaszcza te dziewczyny, które były słabo przygotowane do lekcji. Od razu też postanowiły, że do następnej przygotowują się doskonale. I tak lekcja psychologii stała się dla nas równocześnie lekcją charakteru...

Jadwiga Andrzejczak (z d. Wajsberger)

MAMA SPEŁNIŁA MOJĄ PROŚBĘ

Lata wojny i okupacji spędziłam z mamą Janiną Świdorską w Wartkowicach, w domu babci Leokadii Wichlińskiej, która była akuszerką, czyli położną. Do Łodzi przyjechałyśmy z mamą w 1945 r. i zamieszkałyśmy przy ul. Gdańskiej 172 (teraz teren i budynek Politechniki Łódzkiej). W czasie I wojny światowej i później, do 1924 r., mama mieszkała z babcią i rodzeństwem w tej poniemieckiej kamienicy na drugim piętrze. Kiedy przyjechałyśmy w 1945 r. mieszkanie to było już zajęte, ale były wolne dwa pokoje na parterze i w nich zamieszkałyśmy. Miałam 6 lat i chodziłam przez rok do przedszkola przy ul. Żwirki i Wigury.

Do szkoły poszłam w 1946 r. – to była Publiczna Szkoła Powszechna nr 19 przy ul. Inżynierskiej 4, siedmioklasowa szkoła ogólnokształcąca stopnia podstawowego. Ukończyłam ją z nagrodą w roku szkolnym 1952/53. Koleżanki postanowiły kontynuować naukę w liceum ogólnokształcącym, więc ja też znalazłam się w X Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym przy ul. Wólczańskiej 123. Ukończyłam pierwszą klasę z dobrym wynikiem w roku szkolnym 1953/54, wakacje spędziłam jak zwykle w Wartkowicach... A po powrocie do Łodzi wymusiłam na mamie, żeby odebrała moje dokumenty z „ogólniaka” i zapisała mnie do Liceum Pedagogicznego nr 1 przy ul. Wólczańskiej 202!

Dzisiaj już nawet nie pamiętam, jaka była przyczyna tej zmiany, ale przypominam sobie, że nauczyciele często wysyłali mnie do młodszych klas na zastępstwo, kiedy byłam w szóstej czy siódmej klasie. Może miałam jakieś geny pedagogiczne po mamie, która po ukończeniu siedmioklasowej publicznej szkoły podstawowej przy ul. Inżynierskiej 4 (gdzie później ja chodziłam) rozpoczęła naukę w Seminarium Nauczycielskim? Nie kontynuowała jej wprawdzie, ponieważ w roku szkolnym 1924/25 znalazła się w szpitalu przeciwgruźliczym na Chojnach (dziś Szpital Bonifratrów), w 1924 r. zmarł też jej ojciec, a mój dziadek Melchior Wichliński...

Mama spełniła moją prośbę i w ten sposób w roku szkolnym 1954/55, we wrześniu, rozpoczęłam naukę w Liceum Pedagogicznym, w drugiej klasie. Musiałam zdać egzamin ze śpiewu – przesłuchanie było w świetlicy przy pianinie (a może przy fortepianie?), egzaminował mnie prof. Chmielewski. W świetlicy były jakieś uczennice, a ja słucham, denerwuję się i niedokładnie powtarzam zasłyszane dźwięki, ale wreszcie udało się, chociaż nie mam niestety absolutnego słuchu. Potem, już na spokojnie, we wrześniu i październiku

zdawałam według notatek wziętych od koleżanek przedmioty pedagogiczne z klasy pierwszej. Byłam przyjęta do klasy harcerskiej. Po ukończeniu takiej klasy można było nie tylko uczyć w klasach I – IV, ale także zostać przewodnikiem drużyny harcerskiej. Moje początki w klasie II h nie były łatwe. Koleżanki - po roku wspólnej nauki, wyjazdach na biwaki, wycieczki i narty do Smardzewa, po obozie instruktorskim w czasie wakacji - były już z sobą zżyte, a ja byłam obca, nowa, siedziałam w pierwszej ławce sama od strony drzwi. Właściwie przez wszystkie cztery lata to było moje stałe miejsce. Ale później to już zaprzyjaźniłam się z Różą i Wiesią, a właściwie „zakolegowałam się”. One mieszkały blisko siebie i znały się nie tylko z pierwszej klasy Liceum Pedagogicznego, bo chodziły też do tej samej szkoły podstawowej. No, ale jakoś dopuściły mnie do swojego towarzystwa. Często bywałyśmy w naszych domach. Z Różą chodziłam na łyżwy do Parku Poniatowskiego, gdzie na kortach zimą było lodowisko. Wiesia była kilka dni u mojej babci w Wartkowicach. Z Różą często w czasie przerw chodziłyśmy do biblioteki szkolnej do pani prof. Lewickiej, którą bardzo lubiłyśmy. Byłyśmy razem na obozie wędrownym w Zakopanem i na obozach stacjonarnych w Spale, Trzebieży i Szklarskiej Porębie. Miałyśmy swoje wspólne tajemnice i przemyślenia. Na zdjęciach jesteśmy razem, nieraz dołączała do nas Maryla Darnikowska... Koleżeństwo z Różą trwało aż do jej śmierci w roku 2006. Róża po ślubie ze Zdzisławem Romaniukiem mieszkała w Szczecinie, ale po powrocie do Łodzi zamieszkała blisko mojego bloku. Z Wiesią utrzymuję kontakt do dziś. W swoim czasie kupiłyśmy obok siebie ogrody w Zofiówce koło Tuszyna. Wiesia jest chrzestną mojej córki Marty, a Romek, mój mąż, był chrzestnym Elizy – córki Wiesi.



W klasie III i IV Róża, Wiesia i ja byłyśmy już w bardzo dobrych układach. Uczyłyśmy się razem, chodziłyśmy do Biblioteki Pedagogicznej, na spacer na Piotrkowską, do Egzotycznej (była taka kawiarnia). W klasie miałyśmy nazwę - ksywkę, jak mówi się dzisiaj - „trójca”. Brało się stąd trochę nieporozumień i niechęci ze strony pozostałych koleżanek, że niby się wywyższamy. Napisałam wtedy do naszej klasowej kroniki taki artykuł wyjaśniający, pamiętam jego tytuł: „Przez łyż do szczęścia”. Nie pamiętam już treści tego wpisu, ale myślę, że dobrze wpłynął na klasową atmosferę. Sprawił też, że poszerzył się mój koleżeński krąg. Często kontaktowałam się z Irką Lisiecką. Z Marylą Darnikowską przez pewien czas siedziałam w jednej ławce. U Ali Koszarek byłyśmy jednego roku na Sylwestra, pamiętam przygotowaną przez mamę Ali dużą miskę sałatki jarzynowej. A potem była klasa maturalna, już nie harcerska, tylko V b – miałam w dzienniku numer 12. Już nie było czasu na dąsy, okres dojrzewania minął, zbliżał się egzamin dojrzałości. Wielki stres i niepewność: egzaminy pisemne z języka polskiego i matematyki, a w razie niepowodzenia egzamin ustny. Zdawałam egzamin ustny z matematyki, miałam twierdzenie Talesa, do dziś widzę jego wykres...

Świadectwo dojrzałości Liceum Pedagogicznego otrzymałyśmy 29 maja 1958 roku. A potem był bal maturalny. Rodzice moi brali czynny udział w jego przygotowaniu. Tato nawet śpiewał „Gaudeamus igitur” w czasie oficjalnej uroczystości. Mama zaś miała udział w przygotowaniu poczęstunku, a oprócz tego „zorganizowała” Różę, Wiesię i mnie studentów z Politechniki do towarzystwa. Potem były nakazy pracy, ale ja zdałam egzamin na Wydział Historyczno-Filozoficzny Uniwersytetu Łódzkiego i zostałam przyjęta w poczet studentów. Pierwszy semestr zakończyłam po poprawce z archeologii u prof. Nadolskiego. Przygotowałam się bardzo dobrze, ale w czasie mojego egzaminu była wizytacja władz uczelni, więc gdy podeszłam do mapy, to widziałam jedną białą plamę: żadnych granic, oznaczeń miast, plemion... Poprawkę zdałam za kilka dni, na piątkę, ale prof. Nadolski powiedział, że może postawić tylko trójkę i tak zrobił. Byłam zdesperowana, po egzaminie pojechałam do Inspektoratu Oświaty Łódź-Śródmieście, do pani inspektor Majchrzak, starać się o pracę. Była od 1 lutego w Szkole Podstawowej nr 22 przy ul. Nawrot – klasa IV, wszystkie przedmioty, cały etat. Nie wiem, jak godziłam ćwiczenia i wykłady na uczelni i lekcje w szkole, ale studiowałam dalej „dziennie” i pracowałam. Zostałam dopuszczona do egzaminów po pierwszym roku, ale ktoś dowiedział się, że pracuję, a wtedy nie wolno było pracować i „dziennie” studiować. No i skreślono mnie z listy studentów! Interwencja mojej mamy w dziekanacie nie pomogła. Na studia wieczorowe nie przeniosłam się, zostałam pełnoprawną nauczycielką klas I – IV. W tym czasie moją szkołę przeniesiono do nowego

budynku przy ul. Sienkiewicza 46 (z wejściem także od ul. Piotrkowskiej 96). Kierownikiem był pan Nowacki, a potem pani Kaczmarek. W szkole pracowało kilka absolwentek naszego Liceum Pedagogicznego: Teresa Dewald, Janka Napieraj, Halina Marszałek... Ja byłam najmłodszą nauczycielką. Do programu wszedł język rosyjski, przydzielono mi cztery klasy piąte i zaczęłam uczyć rosyjskiego - ucząc się sama. Stopniowo uzupełniałam wykształcenie. Eksternistycznie ukończyłam Studium Nauczycielskie (przy ul. Perła), byłam na kursach podwyższających kwalifikacje w Leningradzie (jeden miesiąc, z Haliną Sobczak) i w Moskwie (sześć tygodni). Wyższe studia zawodowe ukończyłam w ZSRR w Orle, kształcąc się tam przez rok, a studia magisterskie na Uniwersytecie Warszawskim. Uczyłam języka rosyjskiego do 1989 roku, wtedy przeszłam na emeryturę. Pracowałam w wielu placówkach: w Szkołach Podstawowych nr 22 i 96, w Zasadniczej Szkole Elektrycznej, w Szkole Rzemiosł Budowlanych (przy ul. Nowotki 46, potem przy ul. Żubardzkiej), w Zespole Szkół Handlowych i Liceum Ekonomicznym przy ul. Gandhiego 14 (wcześniej przy ul. Kilińskiego).

Ale ponieważ „nie sama pracą człowiek żyje”, to wspomnę jeszcze o moich pozazawodowych pasjach. W czasie nauki w Liceum Pedagogicznym wzięłam udział w konkursie rysunkowym. Pani prof. Karpowa wysłała mój rysunek do oceny i zajęłam pierwsze miejsce! W nagrodę otrzymałam dwa tomy poezji Juliana Tuwima. Sama też pisałam wiersze. Działałam w kole poetyckim w Pałacyku przy ul. Piotrkowskiej 262/264 (dziś Instytut Europejski).

Recytowałam swój wiersz „Napiszę do Ciebie list” (w domyśle – do Róży do Szczecina) w audycji „Radiostacja młodości”. Tu znowu spotkałam Halinę Sobczak-Jarmońską oraz kolegę ze studiów - poetę Marka Wawrzekiewicza (chwilowa sympatia). Mąż Haliny też był poetą i prozaikiem. Był, bo już nie żyje, tak jak mój mąż Roman Rutkowski (zm. 13 grudnia 2017 r.) i mąż Wiesi – Janusz Makiewicz (zm. 3 sierpnia 2018 r.).

Nieubłagane jest przemijanie... Ale na pociechę pozostają wspomnienia.

Teodozja Rutkowska (z d. Świdorska)

BIEG PATROLOWY

W czwartej klasie dowiedziałyśmy się, że przedłużono nam edukację o jeden rok, więc maturę zdajemy nie po czwartej, ale dopiero po piątej klasie. I wobec tego, jak co roku, mamy w wakacje obóz harcerski! Tym razem w Trzebieży na Zalewem Szczecińskim. Był to nasz pierwszy obóz koedukacyjny: Chorągiew Łódzka – skład żeński i Chorągiew Szczecińska – skład męski. W efekcie tego pobytu wykluło się jedno małżeństwo: Róży i Zdzicha oraz wiele miłostek.

Przywieziono nas na wielką polanę w głębi sosnowego lasu. Za nami przyjechały samochody z namiotami i sprzętem kuchennym. Obóz zaczął się tradycyjnie, jak każdy: najpierw stawianie wieloosobowych namiotów, a potem dalej praca wre, żeby wszystko było gotowe przed nocą...

Największym przeżyciem, które utkwiło w mojej pamięci, był bieg patrolowy. Byłyśmy trzy: Róża, Todzia i ja (a może jeszcze ktoś – nie pamiętam). Po obiedzie wysłano nas na trasę w głąb lasu, gdzie po drodze szukałyśmy znaków i listów, i zgodnie z poleceniami szłyśmy „dalej w las”. Dzień był upalny, a my nie miałyśmy nic – ani do picia, ani do jedzenia. Pamiętam, że napotkana kałuża posłużyła nam do zwilżenia gardeł. Przed wieczorem znalazłyśmy list, w którym dostałyśmy polecenie zbudowania szałasów i spędzenia w nim nocy. Rade nierade zabrałyśmy się do roboty. Zebranego chrustu starczyło nam na tyle, by osłonić w szałasie tułowia, a nogi były już pod gołym niebem. Ale zasnęłyśmy kamiennym snem, a wraz ze świtem powędrowałyśmy dalej po znakach, trafiając do obozu. Uff!!!

Wiesława Makiewicz (z d. Wojna)

OBÓZ W NRD

Urodziłam się miesiąc przed II wojną światową. Mieszkałam w jednopiętrowej kamienicy, w której mieszkali również moja ciocia i wujkowie ze strony ojca z rodzinami. Była to własność dziadka, zmarł on przed odzyskaniem niepodległości. Ten dom, wraz z wyposażeniem, w czasie okupacji zajęli Niemcy. Moją rodzinę i jednego wujka wysiedlili do Limanowej na roboty. W czasie jazdy pociągiem do Limanowej przeszukiwali bagaże podróżnych. Byli pewni, że znajdą w nich złoto. Penetrując różne pakunki jeden z nich - jak wspominała moja mama - włożył rękę do torby z moimi brudnymi tetrowymi pieluchami i znalazł „złoto”. Jego ręka była brudna, a głowa za złości czerwona jak burak. Wyprostował się, zaczął tupać nogami i wrzeszczeć, ile miał siły. Moja mama była przerażona, trzymała mnie mocno i przyciskała do piersi. Myślała, że za chwilę Niemiec wyrwie mnie z jej objęć i wyrzuci przez okno. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

Los chciał, że kiedy kończyłam czwartą klasę Liceum Pedagogicznego - w nagrodę z dobrej oceny pojechałam z uczniami innych klas do NRD na obóz, częściowo wędrowny, bo częściowo przemieszczałyśmy się pociągami. Opiekę nad nami powierzono mojej wychowawczyni prof. Bortnowskiej i nauczycielce wychowania fizycznego prof. Sas, bowiem one znały niemiecki. Przewodnikiem po NRD była serdeczna i miła Niemka. Bardzo cieszyłam się z wyjazdu na ten obóz. Dużo zwiedzałyśmy niemieckich miast, zamków i gór. Stołowałyśmy się w restauracjach. Było miło, przyjaźnie i radośnie aż do pewnego zdarzenia. Pod koniec obozu za otrzymane kieszonkowe postanowiłam kupić drobną pamiątkę. W Lipsku weszłyśmy z koleżankami do sklepu, było w czym wybierać. Głośno zaczęłyśmy rozmawiać o tym, co nam się podoba. Za ladą stała starsza ekspedientka i przysłuchiwała się naszym rozmowom. Podeszłam i poprosiłam o lalkę ubraną w ludowy strój. Starsza pani wyprostowała się, złowrogo spojrzała, wyciągnęła rękę ze wskazującym palcem w stronę drzwi i głośno krzyknęła: „Nein! Raus! Raus!”

Bez słowa wyszłyśmy. Czułam, jak krew uderza mi do głowy, zaczęły mi napływać różne myśli i pytania. Dlaczego??? Przecież to nie my rozpoczęliśmy tę wojnę! Dlaczego przez cały okres okupacji siostra i brat mojej mamy ciężko pracowali w okolicach Essen? Wujek Edward Orłowski nigdy do nas nie wrócił, poszukiwania nie dały rezultatu, słuch o nim zaginął, nie znamy miejsca jego pochówku. Kto przyczynił się do tego, że miałam takie ciężkie dzieciństwo? Nigdy nie zapominałam tych rozświetlonych niebios, błysków, wystrzałów

i jęków rannych ludzi, tych odłamków wpadających przez okna do domu. Takie było moje dzieciństwo, a teraz ta Niemka wyrzuca mnie ze sklepu. To podłe i okrutne!

Nauka w Liceum Pedagogicznym, w klasie harcerskiej, była dla mnie szkołą życia.

Nauczyłam się wielu praktycznych rzeczy, na przykład szycia ręcznego, szycia maszyną, robienia na drutach, naprawiania ubrań, orientacji w terenie, przetrwania w trudnych warunkach... Cieszę się, że mogłam zwiedzić tyle interesujących miejsc w Polsce. Dzięki temu wszystkiemu stałam się osobą dość zaradną, zdolną do podejmowania samodzielnych, a czasem nawet trudnych decyzji. Wykorzystałam to w swoim dalszym życiu.

Całą swoją rodzinę зараziłam bakcylem podróżowania, zwiedzania i podziwiania pięknych, różnorodnych zakątków naszego kraju. Staraliśmy się wykorzystywać każdą wolną chwilę na spełnianie swoich marzeń, aż do dziś.

Irena Ułańska (z d. Lisiecka)

MIAŁYŚMY WSPANIAŁYCH NAUCZYCIELI

Co właściwie chciałabym powiedzieć, wspominając mój pobyt w Liceum Pedagogicznym? Każdą szkołę stanowią nauczyciele i uczniowie. Jakimi my byliśmy uczennicami? Wszystkie przyszyliśmy do naszego liceum z marzeniem, żeby zostać nauczycielem.

O tym, że chcę być nauczycielką, zdecydowałam definitywnie w siódmej klasie szkoły podstawowej, po wizycie w mojej szkole absolwentów Liceum Pedagogicznego w Łodzi, którzy zachęcali do nauki w nim, gdyż rynek oświaty bardzo potrzebował wykwalifikowanej kadry nauczycielskiej. W wyborze szkoły przeze mnie miał też udział obejrzany wtedy film rosyjski „Wiejska nauczycielka”. Mieszkałam w Konstancynie Łódzkiej, ale nie miałam kompleksów małomiasteczkowych, a Szkoła Podstawowa nr 1, do której uczęszczałam, miała renomę nie tylko w naszym mieście.

Rozpoczynając naukę w Liceum Pedagogicznym w Łodzi zaczęłam poznawać szkołę, koleżanki i nauczycieli. Nasza szkoła to był piękny, nowy budynek. Mieściło się w nim jeszcze liceum ogólnokształcące i szkoła podstawowa, która okazała się naszą Szkołą Ćwiczeń. Do wszystkich nauczycieli miałam szacunek i starałam się ich polubić, a lekcje traktowałam poważnie, starając się chłonąć wszystko, aby jak najwięcej nauczyć się w szkole. Już od początku miałyśmy wspaniałych nauczycieli: profesor Karniewicz – fizyk, profesor Mirosław Dyja – polonista, profesor Lewicka – historyczka, profesor Zbigniew Sporny – psycholog, profesor Jan Kaliński – biolog, profesor Franciszek Kubiczek – matematyk. Mieli ogromną wiedzę, wspaniałe przygotowanie do zawodu. Na ich lekcjach nie można było się nudzić. Profesor Sporny miał też zdolność sprawiania, że problemy same się rozwiązywały, a profesor Dyja miał duże poczucie humoru, które ujawniało się nawet podczas sprawdzania klasówek i kartkówek (ciekawe dopiski). Profesor Kaliński miał ogromną wiedzę, ale tak wielką dobroć, że dyscyplina na lekcjach szwankowała. Uwielbiałam kółko biologiczne, na które chętnie uczęszczałam, mimo że moim głównym zainteresowaniem była matematyka i fizyka. Lekcje odbywały się w pracowniach, jak na tamte czasy dobrze wyposażonych - przyrządów, przyborów i materiałów nigdy dla nikogo nie brakowało. Często problemy rozwiązywałyśmy w grupach, co tak propaguje teraz nowoczesna pedagogika.

W klasie zaczęły nawiązywać się przyjaźnie i grupy koleżeńskie. Razem ze mną do naszej klasy trafiła koleżanka ze szkoły podstawowej i z nią usiadłam w jednej ławce, ale ona miała poważne problemy zdrowotne i całymi miesiącami chorowała. Postanowiłam więc usiąść z kimś, kto uczęszcza do szkoły. I tak już do końca, przez prawie pięć lat, siedziałam w ławce z Danielą Sztarbałą, obecnie Jędrasiak. Te więzy przyjaźni między nami spowodowały, że po

przejściu na emeryturę w pewnym momencie postanowiłyśmy się poszukać i spotkać. Potem nastąpiły kolejne spotkania, w szerszym gronie...



Wracając jednak do nauki w Liceum Pedagogicznym. Chciałabym zatrzymać się na ważnych rzeczach, których nas uczono, przysposabiając nas do zawodu nauczycielskiego. Od samego początku uczono nas, jak prowadzić obserwacje pedagogiczne i psychologiczne. Za każdym razem otrzymywałyśmy nowe instrukcje - jak postępować, by dobrze poznać ucznia. Szkoła Ćwiczeń była dla nas skarbnicą wiedzy i doświadczeń, a kontakty z doświadczonymi nauczycielami tej szkoły pomagały w lepszym rozumieniu poszczególnych zagadnień. Ponieważ byłyśmy w klasie harcerskiej, Łódzka Komenda ZHP wciągnęła chętne uczennice do prowadzenia powstających drużyn zuchowych. Sama brałam w tym udział, prowadząc drużynę w Szkole Ćwiczeń, a spotkania w „białym pałacyku” z druhną Matuszewską kierunkowały naszą pracę. Do przyszłej pracy harcerskiej przygotowowałyśmy się nie tylko teoretycznie na zajęciach lekcyjnych, ale także w praktyce na wycieczkach, biwakach, rajdach, obozach. To były niezapomniane chwile. Abyśmy mogły dobrze przygotować się do prowadzenia pracy z harcerzami, szkolono nas praktycznie w grupach: kwatermistrzowskiej, programowej, kulturalnej, gospodarczej – w zależności od potrzeb. Nie wiem, czy wszystkie

koleżanki wykorzystały jako nauczycielki te wiadomości i umiejętności do pracy w ZHP, ale ja przez 33 lata prowadziłam drużyny zuchowe i harcerskie. I ukończyłam pracę instruktora ze stopniem harcmistrza.

Niezapomnianym wspomnieniem - myślę, że dla każdej z nas - był obóz w Spale. Był to obóz klas harcerskich Liceów Pedagogicznych z Łodzi, Poznania i Wrocławia. Nie było nowoczesnych namiotów, tylko stare namioty wojskowe, które dobrze się sprawdzały, ale sprawiały nam od czasu do czasu niespodzianki podczas ulewnych deszczów. Na obozie atmosfera początkowo była trudna, gdyż były to silne środowiska miejskie, rywalizujące o pierwszeństwo. Mimo trudności w zespoleniu całości nawiązywały się jednak przyjaźnie. Ja przez długi czas prowadziłam korespondencję z Marią Mendys z Nowego Tomysła, wymieniając się ciekawymi formami działalności harcerskiej.

Wracając do naszego łódzkiego Liceum Pedagogicznego... W klasach starszych - trzeciej i następnych - dziewcząt ubywało, ale miałyśmy nowych nauczycieli. Wspaniałym nauczycielem śpiewu i muzyki był profesor Leopold Gernard, który był jednym z muzyków słynnej orkiestry Polskiego Radia pod dyrekcją Edwarda Ciukszy. Grał na skrzypcach i mandolinie, pięknie śpiewał. Pamiętam, że na szkolnych uroczystościach pan profesor występował śpiewając kilka piosenek, a niezapomnianą jego piosenką był „Piaskarz”. Wszystkie go uwielbiałyśmy! Trzeba też wspomnieć profesor Felicję Bortnowską – historyczkę, która od drugiej klasy była naszą wychowawczynią. Miała w sobie urok przedwojennej nauczycielki, wnosząc prostotę i elegancję. Była ogólnie lubiana. W klasie czwartej spotkała nas niespodzianka. Władze postanowiły przedłużyć naukę w Liceum Pedagogicznym do lat pięciu i niestety trzeba było jeszcze dłużej pouczyć się do matury. Studniówki nie miałyśmy, ale za to był bal maturalny!

Lata licealne niosły z sobą wiele problemów. Dojazd do Łodzi z Konstantynowa Łódzkiego tramwajem dawał mi się we znaki, a były wtedy bardzo ostre i obfite w opady zimy. Lekcje i bardzo liczne zajęcia pozalekcyjne, wynikające z zaangażowania w naukę i pracę harcerską, absorbowwały mnie bez reszty. Do domu wracałam późno, na co miałam jednak przyzwolenie rodziców, którzy popierali mój wybór.

Co bardzo ważne, Liceum Pedagogiczne dbało o nasz wszechstronny rozwój. Każda z nas zaliczyła z powodzeniem naukę pływania. Poznałyśmy zasady gier zespołowych, grałyśmy w koszykówkę, siatkówkę, piłkę ręczną. W naszej szkole specjalnością była koszykówka, ze słynnymi turniejami klas. Nasza koleżanka Barbara Pabiańczyk była koszykarską gwiazdą szkoły, a potem kilku klubów sportowych. Był też nacisk na indywidualne sporty zimowe. Każda z nas musiała zaliczyć podstawową umiejętność jazdy na łyżwach (niestety, nie udało

mi się opanować jej na tyle, bym mogła z tego korzystać), na nartach (było to moją pasją, potem nauczyłam jazdy synów) oraz na saneczkach. Na to wszystko był czas na cudownych obozach zimowych.

Moja szkoła - Liceum Pedagogiczne - jest dla mnie wspaniałym wspomnieniem, które zajmuje szczególne miejsce w moim sercu.

Anna Krystyna Urbańczyk (z d. Szefer)

